

*Nienawidzę dziewczyn! Nigdy nie potrafią dochować tajemnicy. Zawsze wszystko wygadają! A do tego wyśmieją! A najgorsza jest moja siostra! Dlaczego ja nie mam brata jak Patryk? Albo psa jak Damian? Oni nie myszkowaliby po moich szufladach i nie czytaliby mojego dziennika. To potrafi tylko siostrzyca! Smarkata żmijka!*

*Jak się chłopaki dowiedzą, że dziewczyny zwąchały naszą tajemnicę, w życiu mi nie darują! Ale taka jest prawda. Nasze Tajne Sprzysiężenie Niezwyciężonych przestało być taj...*

- Maks, wyrzucić śmieci - przerwała mi w pół słowa mama.

Byłem wściekły na Zuzkę jak sto szatanów. Miałem ochotę rozszarpać ją na tysiąc kawałków. Ale musiałem to odłożyć na później. Teraz - śmieci, żeby uspokoić mamę, i drugie tajne spotkanie naszego Tajnego Sprzysiężenia, które przez Zuzkę przestało być tajne. Pierwsze, założycielskie - jak podkreślał Patryk - odbyło się w zeszłym tygodniu. Dziś miało być programowe. To też wymyślił Patryk, jak i całe Sprzysiężenie. Nie do końca wiedziałem, co to znaczy. Damian też nie do końca, ale wystarczało nam, że Patryk wie. W końcu miał ojca prawnika.

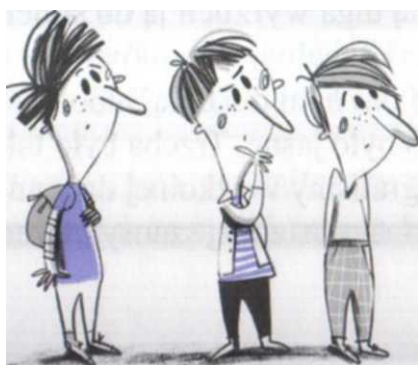
Kiedy przyszedłem, chłopaki już czekały przy śmietniku.

- Dobry kamuflaż - pochwalił mnie Patryk, widząc worek ze śmieciami.

Mruknąłem coś niewyraźnie, przemilczając rolę mamy w tym kamuflażu. Cisnąłem worek za murek śmietnika i mogliśmy zaczynać. Patryk zrobił bardzo uroczystą minę, a my z Damianem jeszcze bardziej uroczyste, żeby nie wyszło na to, że czegoś nie rozumiemy.

- Czy zgromadziliśmy się już wszyscy? - zapytał na początek, a kiedy obaj popatrzyliśmy na niego zdziwieni, dodał: - Musiałem zapytać ze względów proceduralnych.

Spojrzałem kątem oka na Damiana i pokiwałem ze zrozumieniem głową, zastanawiając się, co to konkretnie za względy. Zerkając na mnie, Damian też pokiwał, bo w sprawie trudnych wyrazów mieliśmy do Patryka całkowite zaufanie. Całkowicie zresztą na wyrost, jak się okazało już wkrótce. Tymczasem Patryk ciągnął dalej, raz po raz zaglądając do wymiętolonej karki i którą wygrzebał z kieszeni.



- Witam wszystkich Sprzysiężonych. Nasze zgromadzenie ma na celu zwerbalizowanie deklaracji programowej, która nakreśli strategiczne priorytety, będące kontynu...

Tutaj Patryk potknął się o własny język, co natychmiast wykorzystał Damian, wchodząc mu w słowo:

- Gadaj wreszcie, o co chodzi, albo idę do domu - powiedział z właściwą sobie prostotą, która zawsze budziła mój szacunek

- Właśnie - poparłem go jednogłośnie, już wyobrażając sobie piekło, jakie się za chwilę rozpęta.

Tymczasem Patryk, o dziwo, tylko do nas mrugnął, zmiął kartkę i z wyraźną ulgą wyrzucił ją do śmietnika.

- Koniec części oficjalnej - zamknął temat. - A sprawa wygląda tak, że albo oni nam dokopią, albo my im.

Teraz wszystko było jasne. Trzeba było tak od początku! Wszyscy trzej graliśmy w szkolnej drużynie piłki nożnej i za miesiąc mieliśmy mecz ostatniej szansy z Czerwonymi Diabłami - zespołem drugiej podstawówki z naszej dzielnicy. Oczywiście całej dzielnicy, ba, całego miasta skierowane były właśnie na nas. Bo to my wylosowaliśmy tytuł reprezentacji Polski! Na własnym boisku dostaliśmy od Czerwonych Diabłów prawdziwe lanie. I w rewanżu będziemy musieli dokonać cudów, żeby Polska wyszła z dzielnicy i mogła powalczyć o Puchar Burmistrza! Nie baliśmy się Anglików z Przylesia ani Niemców z Podgórze, ani nawet Brazylijczyków z Zarzecza! Naszą piętą achillesową byli Belgowie z rodzimego Zacisza!

Bo tak prawdę mówiąc - prawdziwym żywiołem jest dla nas woda. Na basenie nikt nam nie podskoczy, nawet sam diabeł morski! Ale na łądze, czyli na murawie, a ściślej - na klepisku, nasze szanse malały zastraszająco.

- Tylko cud może nas uratować - westchnąłem, pamiętając te trzy atomowe gole, które mi wkopali.

- Nie cud, tylko czar! - zakrzyknął Patryk, czym znowu nas wprowadził w zdumienie. - Pamiętacie pierwszy mecz Harry'ego Pottera?

- Ale on miał magiczną miotłę, a i tak się napocił - wzruszył ramionami Damian, ale Patryk najwyraźniej wszystko przewidział.

- Miał nie tylko miotłę. Miał też czarodziejską sowę! - zawołał triumfalnie i już spokojnie wyłożył nam swój plan.

Według niego wystarczyło tylko znaleźć odpowiednie czarodziejskie zwierzę, a ono już będzie wiedziało, co zrobić, żebyśmy wygrali.

- I to wcale nie musi być sowa - zastrzegł, czym bardzo mnie uspokoił, bo sowę widziałem tylko raz. W telewizji.

Zaczęliśmy się zastanawiać, jakie zwierzęta mogą być najbardziej czarodziejskie. Na wstępie skreśliliśmy żółwie, jako zbyt wolne i mało komunikatywne. Za nimi poszły węże - ze zrozumiałych względów. Czczone w Indiach małpy wydały nam się za mało poważne do tak poważnej sprawy jak obrona barw narodowych. Święte krowy - za mało szlachetne.

- Ibis! - wymyślił wreszcie Damian, który zaczytywał się w historii starożytnego Egiptu. Ale gdzie szukać ibisa - gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Egipt... Też skreśliliśmy.

- Musimy myśleć racjonalnie - podsumował nasze poszukiwania Patryk, a widząc złe spojrzenie Damiana, natychmiast się poprawił: - Czyli zdroworozsądkowo. Który z was ma jakieś zwierzę w domu?

- Jamnik i mrówki faraona - zameldował krótko Damian.

Pies, najlepszy przyjaciel człowieka, wydał nam się jednak mało magiczny. Poza tym jamnik...

- Jamnik nie da rady - orzekliśmy zgodnie.

Kandydatury mrówek nawet nie rozpatrywaliśmy. Mrówki dobre są do pracy, ale nie do czarów. A nam potrzebny był czar! Czyli że zwierzęta Damiana odpadały. Patryk miał tylko brata, bo jego ojciec prawnik był zdania, że wolności zwierząt nie wolno ograniczać ani klatką, ani akwariem, ani terrarium, ani nawet czterema ścianami największego pokoju. Lubił za to wolne ptaki i każdej zimy wystawiał na parapet doskonale zaopatrzone karmniki, do którego zlatywały się wróble i sikorki z całej dzielnicy.

- Co takie ptaszyny poradzą przeciwko Czerwonym Diabłom... – chłopaki machnęły ręką i popatrzyły z nadzieją na mnie.

Ale i ja nie miałem za bardzo czym się pochwalić. Mamy, co prawda Kwiczola, zwanego złośliwie przez Zuzkę morskim wieprzkiem, który kwiczał jak zarzynany z byle powodu. Ale w czarodziejskie przymioty morskiej świnki nikt z nas nie wierzył.

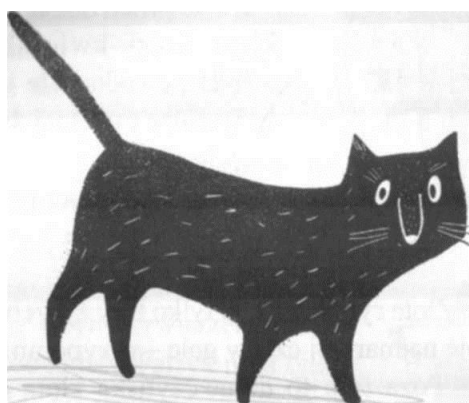
- Zuzka ma złotą rybkę! - oświeciło mnie nagle, ale Patryk natychmiast mnie ostudził.

- Złota rybka spełnia tylko trzy życzenia, a my musimy wbić najmarniej cztery gole - przypomniał.

- Poza tym to dziewczyńska złota rybka. Na pewno nie zna się na piłce - dodał Damian i musieliśmy się z nim zgodzić. Dziewczyny w ogóle na niczym się nie znają, a najbardziej się nie znają na piłce! Więcej zwierząt nie mieliśmy. Czyli że racjonalnie się nie dało. Zaczęliśmy więc myśleć nieracjonalnie. Marzyły nam się gryfy, jednorożce, tury, dinozaury, lwy, a nawet smoki. Bo przecież są i dobre! Taki smok z łatwością rozgromiłby Czerwone Diabły!

- Patryk, kolacja! - sprowadził nas na ziemię głos mamy Patryka. Spojrzeliśmy na siebie spłoszeni - czyli że nic nas nie uratuje?...

- Uważam nasze dzisiejsze zgromadzenie za zakon... - zaczął z grobową miną Patryk, ale nagle zamilkł ze wzrokiem utkwionym gdzieś nad naszymi głowami.



Spojrzelśmy w górę i puknęliśmy się w czoło - że też wcześniej na to nie wpadliśmy! Po murku śmietnika majestatycznie spacerował kot.

- On, on nam pomoże! - wrzasnął dziko Damian, rzucając się w kierunku kota, ale ten był szybszy. Dał susa na drugą stronę murku i tyleśmy go widzieli.

- E, to zwykły dachowiec - machnął ręką Patryk. - Nasz musi być czarny!

Wiadomo, że czarny, o tym wie każda czarownica.

- Ale skąd takiego wziąć? - zasępił się Damian.

- Phi, u nas w piwnicy jest tego towaru na pęczki: białe, czarne, czarno-białe, biało-czarne... - pochwaliłem się, na swoje nieszczęście, co błyskawicznie wykorzystał Patryk.

- Maks załatwi kota! - zarządził głosem nieznoszącym sprzeciwu, a dla porządku zapytał: - Kto jest za?

Nim zdążyłem otworzyć usta, Damian zgodził się za mnie i za siebie.

- Masz na to miesiąc. A my zajmiemy się całą resztą rzucił na odchodnym Patryk i poleciał na kolację, bo jego mama nie lubiła powtarzać dwa razy.

- Oki - kiwnął głową Damian i też ulotnił się w mgnieniu oka.

Cóż było robić. I ja powlokłem się do domu, zachodząc w głowę, co Patryk miał na myśli, mówiąc „cała reszta”.

- Gdzieś ty się podziewał? Na wysypisku byłeś?! - powitał mnie naburmuszony głos mamy.

- Teraz już wiesz, dlaczego nienawidzę chłopaków - uśmiechnęła się do niej najbardziej anielskim ze swoich uśmiechów moja siostra i zamknęła się w pokoju.

Głowę dam, że znowu czytała mój dziennik! Szpieguska! Ale niech tylko zwerbuję tego kota! Już ja jej pokażę!

Następnego ranka poleciałem do piwnicy jeszcze przed szkołą.

- Kici! Kici! - zdzierałem sobie gardło, kurze szkolnym mundurkiem.

Wszystko na nic. Koty wiały przede mną jak przed jamnikiem Damiana. Od czasu do czasu migał mi, co prawda, w oddali jakiś ogon, ale zanim dobiegłem do niego z moim „kici, kici”, już nie było po nim śladu. A mówią, że dobre słowo zbliża! Mnie do kota nie zbliżyło. Postanowiłem działać bardziej zdecydowanie - przez żołądek do serca. Mleko! Śmignąłem do mieszkania i nalałem pół kartonu do ulubionej miseczki Zuzki w zielone myszki. Gdyby to zobaczyła... Na szczęście poleciała już gdzieś z dziewczynami.

Postawiłem miseczkę w zacisznym kąciку i pognałem do koły. To powinno podziałać! Kiedy po lekcjach zajrzałem do piwnicy, miseczka była wylizana do czysta. Bingo! Nalałem drugie pół kartonu i przyczałem się za rogiem. Najpierw nieśmiało wychylił się jeden, za nim przybiegł drugi, a potem jeszcze dwa. Ale wszystkie białe albo łaciate! Wypiły, popatrzyły na mnie pytająco, a widząc moje rozczarowanie, ulotniły się równie bezszelestnie, jak się pojawiły.

Widać mleko lubią tylko białe. A co lubią czarne? Nie zdążyłem tego przemyśleć, bo do piwnicy weszła pani Maryjka, nasza sąsiadka.

- Maksiu, ty też karmisz kotki? - zdumiała się i pogłaskała mnie po głowie, czego nienawidzę.

Zniosłem to jednak po męsku, bo musiałem zasięgnąć języka.

- A co kotki jeszcze lubią oprócz mleka? - zapytałem słodko.

- Rybki, zwłaszcza wędzone szprotki - zdradziła mi koci sekret pani Maryjka, nawet nie domyślając się, że ratuje tym samym honor polskiej reprezentacji.

W trzech susach byłem na górze i przetrząsałem lodówkę w poszukiwaniu konserw. Niestety - co było do przewidzenia - nie znalazłem nawet ucha od śledzia. Mama uznawała tylko ryby świeże i wędzone. „Konserwy są niezdrowe” - przestrzegała zawsze. Toteż kiedy tacie zdarzało się kupić jakieś sardynki w oleju lub makrelę w pomidorach, zajadałiśmy się nimi we dwóch po kryjomu, skrzętnie zacierając ślady przestępstwa. Męskie tajemnice!

- Gdzie moja miska? - Zuzka popatrzyła na mnie podejrzliwie, ale zachowałem kamienny spokój.

- Tam, gdzie ją zostawiłaś, bałaganiaro! Jak myślisz, czy koty lubią złote rybki?... - mlaśniełem prowokacyjnie i, nie czekając na odpowiedź, wymaszerowałem z kuchni.

Nie na długo jednak, bo za chwilę przywołał mnie głos mamy:

- Maks, skocz po mleko, bo nie ma już ani kropli. Rano był pełny karton... - Zuzka prześwidrowała mnie na wylot swoim oskarżycielskim spojrzeniem, ale i to wytrzymałem z kamienną twarzą.

- Oki - mruknąłem i pomknąłem do sklepu. Rybnego. Nakupiłem szprotek chyba za pół tygodniówki! Śmierdziałem wędzarnią na całą dzielnicę. Nic więc dziwnego, że do piwnicy schodziłem w asyście stada kotów, które czekały na mnie już przed sklepem. Zupełnie jakby wiedziały, że kupuję dla nich! Mądre bestie. Porcja za porcją - sypałem szprotki do

miski Zuzki, a koty wcinały, aż im się ogony trzęsły. I przybywało ich z każdą chwilą. Białe, szare, rude, łaciate, nakrapiane, paskowane, nawet trójkolorowe.

Nie było tylko kotów w kratkę. No i mojego czarnego. A głowę bym dał, że kiedyś mi mignął.

Powlokłem się na górę i znowu mi się dostało.

- Ty to potrafisz zginąć! A gdzie mleko? - zapytała mama, która była pamiętliwa jak mało kto.

Znowu obróciłem się na pięcie i śmignąłem do sklepu. Tym razem potrwało to chwilę moment.

- Dwa kartony, na wszelki wypadek. A to wędzone szprotki, wyjątkowo zdrowe. Z mojej tygodniówki wydyszałem, ignorując zdumione spojrzenie mamy i te laserowe świdry Zuzki.

Następny dzień znów upłynął mi ze szprotkami w piwnicy. I znowu kłapa. Na takie czcze karmienie straciłem trzy cenne dni. Czwartego odważyłem się wreszcie zapytać o czarnego kota panią Maryjkę, która o kotach wiedziała wszystko.

- Tak, pojawia się od czasu do czasu - potwierdziła moje informacje. - Ale jest strasznie dziki. Rzadko pokazuje się w dzień.

Wszystko się zgadza! Nocny czarny kot musi być magiczny!

Na polowanie miałem jednak coraz mniej czasu. Szkoła, treningi, odrabianie lekcji, obowiązkowe czatowanie i dzień mijał nie wiadomo kiedy. Nieraz nie miałem nawet czasu zjeść drugiego śniadania!

Szóstego popołudnia zszedłem do piwnicy i patrząc na koty pałaszujące szprotki, przypomniałem sobie o kanapce z kiełbasą, którą mama dała mi do szkoły. Musiałem ją zniszczyć przed powrotem do domu, bo nasłuchałbym się...

Ledwo ugryzłem kęs, a on pojawił się jak spod ziemi. Kruczoczarny, wielki i nieprawdopodobnie wychudzony. Miska była już pusta. Koty wylizały ją do czysta i po kociemu bezszelestnie zniknęły.

Byliśmy w piwnicy sami - tylko on i ja. Spojrzał na mnie swoimi zielonymi ślepiami i od razu wiedziałem - to ten! Rzuciłem mu plasterek kiełbasy. Nie pogardził. Drugi, trzeci... Też raczył. Ale kiedy spróbowałem zrobić krok w jego kierunku - zatrzymał mnie spojrzeniem.

- Mówię wam, ale on ma oczyska! Jak zielone filizanki! - opowiadałem potem chłopakom pod śmietnikiem.

Patrzyli na mnie wielkimi oczami.

- Udało się! - zacierał rękę Damian.

- Teraz musisz z nim nawiązać kontakt i wytłumaczyć mu, w czym rzecz - poinstruował mnie Patryk.

- To dla mnie kaszka z mlekiem - uspokoiłem go, taktownie przemilczając, że nienawidzę kaszki.

Pożegnaliśmy się okrzykiem:

- Niech żyje Tajne Sprzysiężenie Niezwyciężonych!

Przez następne trzy tygodnie żyłem w piwnicy jak kret, a sprzedawczyni w mięsny witała mnie już od progu:

- Maks, jak zwykle - pół metra kiełbasy?

Cała moja tygodniówka szła na czarowanie kota. Nie miałem nawet na gumę do żucia! Zuzka świdrowała mnie na wylot ze swoim nieodłącznym złośliwym uśmieszkiem, ale byłem nieprzenikniony. Maskowałem się jak stary Siuks! Spotykaliśmy się z kotem popołudniami. Przychodził punktualnie o piątej, zjadał swój przydział, spoglądał za mnie zielono i majestatycznie oddalał się z moją tygodniówką w brzuchu. Nic dziwnego, że przytył. Ba, nawet się zaokrąglił na bokach! Ale ilekroć próbowałem do niego podejść, parskał ostrzegawczo i podnosił ogon. Nie miałem odwagi nawet do niego zagadnąć. Kiedy chłopaki podpytywały mnie, czy kot przyjął nasze zlecenie, wymijająco odburkiwałem:

- Pracuję nad tym.

Aż pewnego dnia - stało się! Po rytualnym podwieczorku kot oblizał się, przeciągnął i... nagle sam podszedł do mnie i otarł się o moje nogi!

- Mamy kota w kieszeni! - nie mogłem powstrzymać okrzyku, kiedy znów spotkaliśmy się z chłopakami przy śmietniku.

- Powiedziałeś mu? - zapytał rzeczowo Patryk.

- Jutro mu powiem. Nie chciałem, żeby wyszło zbyt interesowanie - uspokoiłem go, czując, jak rosną moje akcje w Sprzysiężeniu. Chłopaki patrzyły na mnie prawie z podziwem!

Tak jak obiecałem, następnego popołudnia opowiedziałem kotu wszystko od A do Z - o naszej niesprawiedliwej przegranej, bo sędzia nie zauważył faulu. O naszej ostatniej szansie - przyszłotygodniowym meczu, który musimy wygrać czterema golami najmarniej. Nie zapomniałem i o honorze. Bądź co bądź - narodowym! Kot słuchał uważnie, mrużąc oczy. A na zakończenie dał się nawet pogłaskać. Znów otarł się o moje nogi i mrużąc: „Do widzenia”, oddalił się w sobie tylko wiadomym kierunku.

- Powiedziałeś mu? - dopytywały się chłopaki. - I co on na to?

- Mruknął, że to przemyśli - zapewniłem solennie. Zatkąło ich!

- Chciałbym go poznać - odezwał się wreszcie Patryk, a Damian szepnął:

- Ja też...

- Załatwione. Jutro o piątej w piwnicy - powiedziałem uroczyście. Teraz ja dyktowałem warunki.

Punkt piąta byli wszyscy. Poza kotem. Nie przyszedł ani o wpół do szóstej, ani o szóstej. Patryk zaczął się niecierpliwić.

- Jeśli spóźni się i na mecz, to po nas - jęknął. A Damian zapytał wprost:

- Czy ten kot w ogóle istnieje?

Na taką obrazę odpowiedź mogła być tylko jedna! Wyprosiłem ich z piwnicy i nie odezwałem się do nich przez cały następny ranek. Potem mieliśmy trening, więc musiałem im to i owo krzyknąć od bramki. I tak się przeprosiliśmy.

Po treningach biegałem do piwnicy, bo koty już na mnie czekały. Ale mój się nie pojawił. Wyglądało na to, że obraził się za tę niezapowiedzianą wizytę.

Zdażyłem mu powiedzieć co i jak. Nie powiedział nie - pocieszałem chłopaków, ale miny wszyscy mieliśmy niewyraźne.

Aż przyszedł Ten Dzień!

Pogoda bezchmurna. Boisko starannie zagrabione przez Czerwone Diabły - bo mecz był wyjazdowy, a raczej „wyjściowy”, na sąsiednim osiedlu. Całe w muldach i dziurach, bardziej nadawało się do jazdy na rolkach niż do gry w nogę, ale co było robić. Stałem na bramce w świeżo wyprasowanej przez mamę koszulce. Chłopaki ustawily się dzielątką na swoich miejscach. Cała nasza szkoła stłoczyła się wokół naszej połowy.

- Dowalcie im! - zagrzewali nas do boju.

Kibice Diabłów skupili się po przeciwnej stronie i też zagrzewali swoich. Przyszli wszyscy. Nawet ojciec Patryka. Nie było tylko kota!

- Nie ma zmiłuj - sędzia gwizdnął i zaczęło się. Na początku całkiem nieźle. Patryk przechwycił piłkę, kopnął do Damiana, ten oddał do Patryka i nie wiedzieć kiedy - nasi obrońcy znaleźli się nagle pod bramką Czerwonych Diabłów. Już, już Patryk miał się złożyć do strzału, kiedy nagle jak nie potknie się na muldzie przed samym polem karnym, jak nie wywinie orła... Przejęta przez Diabły piłka lotem koszącym poleciała w kierunku mojej bramki. Leciwała, leciwała, aż doleciała, bo Czerwone Diabły znały tu każdą muldę jak własną kieszeń. Skacząc z muldy na muldę, piłka znalazła się na naszym polu karnym i nim się spostrzegłem, przekoziółkowała nad moją głową.

- G o o o !! - wrzasnęła strona Czerwonych Diabłów.

A nasi, pozał się, obrońcy patrzyli na czubki swoich butów. Zdaje się, że ktoś gwizdnął...

Tylko kot nas może uratować - pomyślałem, wyjmując piłkę z bramki. Chłopaki pomyślały chyba to samo, bo ciągle łypały na boki. Potem gra się trochę uspokoiła i do przerwy jeszcze tylko raz musiałem się czerwienić. Teraz gwizdy były wyraźniejsze.

- Oszust nie kot! - pomstował w przerwie Patryk i musiałem się z nim zgodzić.

Tyle kiełbasy na marne! Że nie wspomnę o moich czterech tygodniówkach.

W drugiej połowie mieliśmy jeszcze gorzej, bo graliśmy pod słońce i kompletnie nic nie widzieliśmy. A w okularach nie wypadało. Tylko po sile wrzasku kibiców przeciwnika mogłem się domyślać, że piłka zbliża się do mojej bramki.

Już po nas, Polska ugrzęźnie w dzielnicy - pomyślałem zrezygnowany, kiedy nagle... Zobaczyłem go! Szedł prosto w moją stronę, znowu chudy jak patyk. A w pyszczku niósł coś jakby kawałek futerka. Mysz?

- To są te twoje czary?! Myszą Czerwonych Diabłów nie przestraszysz - chciałem go zawstydzić, kiedy zastanowiła mnie nagła cisza. Wszyscy z zapartym tchem wpatrywali się w kota, który otarł się o moje nogi i położył mi na bucie... biało-czarnego kociaka.

- Kocia mama! Kocia mama! - zatrzęsło się od śmiechu całe boisko, a ja ze wstydu schowałem się za słupek.

Na szczęście chłopaki nie straciły głowy i w całym tym zamieszaniu zgrabnie wbiły Diabłom dwa gole. Widział to chyba tylko sędzia, bo kto żyw, gapił się na mojego kota, który właśnie niósł mi w pyszczku kolejny mój wstyd - tym razem czarno-biały. Podwórkowy stadion aż szalał! Po trzecim kociaku - kruczoczarnym, Czerwone Diabły przypominały sobie wreszcie o meczu, spojrzały na tablicę i ruszyły z furią do ataku. Z przerażeniem patrzyłem, jak cała ta wataha z piłką jak torpeda pędzi prosto na moją bramkę.

- Stratują mi koty... - jęknąłem i jak lew rzuciłem się na piłkę. Po chwili leżałem na dnie piramidy Czerwonych Diabłów, ale piłki nie dałem sobie wydrzeć!

- Miałeś wyskok! To było nie do obrony! - szepnął z podziwem Damian i popędził z powrotem pod bramkę Diabłów.

Wiedziałem, że muszę wybić piłkę jak najdalej od kotów. Zawzięłem się, napiąłem i wycelowałem prosto w znajomą muldę. Bingo! Piłka przekoziółkowała nad bramkarzem i...

- Gooool!- wrzasnęła nasza strona.

- Maks-snajper! - skandowali, zapominając już o „kociej mamie”.

A w Czerwone Diabły jakby diabeł wstąpił. Miotali się po boisku bez ładu i składu, umiejętnie zwodzeni przez naszych chłopaków. W końcu Patryk przymierzył się i kopnął na bramkę. Ich kapitan wyskoczył, spróbował główkować, ale zamiast odbić - dobił... W tym momencie sędzia odgwizdał koniec meczu. 4:2!

- To chyba jakieś czary! - przecierał oczy ze zdumienia ojciec Patryka, który widział nas w poprzednim meczu.

A tłum na naszej połowie dosłownie oszalał z radości. Polska górą! Tylko kocięta w najlepsze ssały, bo widać była to pora karmienia.

Od tego pamiętnego popołudnia cała szkoła patrzyła na nas z szacunkiem. A chłopaki na mnie z niedowierzaniem.

- To był w końcu ten czar czy nie? - pytali niepewnie.

- Okaze się podczas następnego meczu... - odpowiadałem wymijająco.

*Nienawidzę dziewczyn! Zuzka od wczoraj się ze mnie nabija, że nie umiem odróżnić kota od kotki. A czy on ma na czole napisane?! W dodatku przywłaszczyła sobie mojego kociaka! Tego biało-czarnego. A przecież kotka mnie go przyniosła! Rodzice się zgodzili. Żółta rybka też nic nie powiedziała. Tylko Kwiczoł kwiczał, jakby go zarzynali. Ciekawe dlaczego. Czarno-białego wziął Patryk. Jego ojciec dał się przekonać. To już chyba naprawdę czary. Postawił tylko warunek, że lufcik ma być zawsze otwarty. „To będzie kot spacerowy” - zastrzegł. Dlatego jednogłośnie nazwaliśmy go Włóczykij. Ostatniego, czarnego kociaka mój kot zatrzymał dla siebie. Pewno na naukę. Niełatwo być czarodziejskim kotem. Muszę kończyć. Koty czekają. A dziennik tak schowam, że Zuzka prędzej zje własne ucho, niż go znajdzie!!!*

Liliana Bardijewska, *Kocie sztuczki*, [w:] *Czarownice są wśród nas*